

## TYGODNIK ILLUSTROWANY.



№ 206.

Prenumerata w Warszawie:  
Rocznie rsr. 8, półrocznie rsr. 4, kwartalnie rsr. 2,  
miesięcznie kop. 67 1 pół.

Warszawa, 5 września 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:  
Rocznie rsr. 12, półrocznie rsr. 6, kwartalnie rsr. 3  
Koperta oddzielna 2 rsr. rocznie.

TOM VIII.

## TREŚĆ NUMERU.

Jerzy Sebastian Lubomirski, marszałek w. koronny, hetman polny (z drzeworytem).—Kronika tygodniowa.—Szczątki zamku w Radziejowicach (z drzeworytem).—Albrecht książę pruski (z drzeworytem).—Korrespondencja Tygodnika Ilustrowanego (dokończenie).—Lubasz (z drzeworytem).—Szachy.—Rebus.

przyszłej wielkości syna. Pod starość wszystkie dobra swoje i kosztowności rozdzielił na dzieci i sobie zostawił niewiele, żeby mógł lepiej pracować na zbawienie duszy. Trzy tylko klejnoty, najdroższe pamiątki, sobie zostawił, to jest namiot, który wziął od Turków pod Chocimem, laskę marszałkowską, którą mu podarował Mikołaj Wolski marszałek w. kor. i kamienicę w rynku krakowskim. Te trzy rzeczy miały

miał najwięcej ze wszystkich braci utrzymać świetność Lubomirskich.

Młody i zdolny, syn rodziny która się już wysoko dźwigała, dumny prawie od pieluch, wychowany na cudzoziemską stopę, po książęcu, posiadał Jerzy Lubomirski „piękną wymowę, którą go nauka i natura utalentowała.“ (Albr. St. Radziwiłł, Pamiętniki t. II str. 88). Jeszcze nie przez się nie znał w ojczyźnie, a już zbierał korzyści swego położenia; dla zasług ojca albowiem zajmował urzędy i godności, których starsi nie mieli, i widział jak się przed nim, acz młodym, płaszczyła szlachta.

W złą wychowywał się szkole, bo nie tylko w teorii słyszał, ale i z praktyki się przekonywał, że dla panów stoi rzplta. Starostą sądeckim marszałkował na sejmie w lutym 1643 roku. „Dyrektorem zgodnie obrany brat rodzony żony mojej,“ odpowiada o tém z radością kanclerz lit. dumny Albr. Stan. Radziwiłł. Sejm odbył się spokojnie. Zajmowała na nim pomiędzy innymi posłów sprawa króla z nuncyuszem Filonardim, który zbyt sobie pozwalał. Nazywał np. króla „fuktorem heretyków i schizmatyków,“ władzy jego za nic nie miał, a narodowi ubliżał. Wypadło z narady, że trzeba wyprowadzić do upomnienia nuncyusza senatorów i posłów. Dla wagi przydany do tego poselstwa sam marszałek sejmowy. To jedno było postronne zajęcie Lubomirskiego w czasie sejmu. Razem z innymi senatorami i rycerstwem oświadczył Filonardemu, że go rzplta za nuncyusza nie uznaje. (Albr. Stan. Radziwiłł t. II str. 93).

I to marszałkostwo sejmowe i starostwo winien był Lubomirski swojemu nazwisku i pańskim stosunkom. Ojciec uporczywie upominał się za synami. Starszego Aleksandra wyprowadził na koniuszego kor. i oddał mu starostwo naprzód zatorskie, potem sandomierskie. Teraz drugiego z kolei, Jerzego, posuwał. Marszałkostwo sejmowe miało mu być tylko wstępem do zasług w rzpltej. Ojciec go uposażył w starostwo sądeckie, które już było tak samo dziedziczne w domu Lubomirskich, jak i sandomierskie, to jest



JERZY SEBASTYAN LUBOMIRSKI. (Podług ryciny Preka).

### Jerzy Sebastian Lubomirski,

MARSZAŁEK W. KORONNY, HETMAN POLNY.

Jerzy urodził się 20 stycznia 1616 r. w jakiejś wsi pod Krakowem, na półgodziny przed wschodem słońca; okoliczność, która współczesnym wieszczkom dawała powód do wniosków, dlatego ją tu przytaczamy (Lettres de Pierre des Noyers, str. 410).

O Jerzym znajdujemy pierwszą w dziejach wzmiankę pod r. 1642 w listopadzie. Żenił się Aleksander Koniecpolski, chorąży kor., z Joanną Barbarą Zamojską, wnuczką wielkiego Jana, kanclerzanką kor. Był to cioteczny brat Lubomirskich wojewodzieców krakowskich, bo rodził się z córki kasztelana wojnickiego Sebastjana. Młody Koniecpolski zaprosił Jerzego na świadka do Zamościa. Był tam w istocie Lubomirski i podpisał ślubną intercyzę. Musiał tylko co powrócić z podróży, którą odbył zagranicę, dla zwidzenia cudzoziemskich krajów. Najdroższe wspomnienia przywiózł z Hiszpanii, bo król Filip dał mu sygnet z bogatym bardzo diamentem. Wróciwszy do ojczyzny, składał pierwiastki dzieł rycerskich pod hetmanem Koniecpolskim. Ale nie tylko liczne pułki prowadził do boju, jeszcze zdrową radą zastępował ojczyznę „od walących się tłumem na nią przygód.“ Żywy i dziarski, nie mógł ukrywać swoich myśli. Dlatego wolnie na sejmikach mówił „przeciwko niektórym dworom królewskiego wybojom.“ Domyslały się niektórzy, że ta otwartość podobała się dziarskiemu i żywemu królowi (Niesiecki wyd. lipskie, t. VI str. 155). Trudno to przypuścić, bo Władysław IV owszem nie lubił, żeby mu senatorowie opór stawiali, a tém bardziej ludzie młodzi, którzy dopiero szukali dla siebie pola do zasługi. Ale to pewna, że Jerzy u ojca swego, Stanisława wojewody krakowskiego, w szczególniejszych był łaskach. Opowiadają że wojewoda miał przeczucie o

się dostać temu z synów, który stosownej dostojności dostąpi, namiot hetmanowi, laska marszałkowi, kamienica dla przyjmowania gości starości krakowskie. Jeżeli to prawda, to stary wojewoda wszystkie te drogie pamiątki przekazywał dla Jerzego, który

z ojca na syna spływało przez trzy pokolenia. Wojewoda niczego już nie potrzebował dla siebie. Ambicya jego nie była drobiazgową; krzesło o stopień wyższe mogło zaspokoić tylko pospolitą dumę. Wojewoda chciał za życia widzieć synów filarami

rzpltej. Sam jeden z Lubomirskich był panem, bo linie boczne tego domu już wymierały, co dumie jego mogło pochlebiać. Starostwo krakowskie musiało więc jego syna podnieść na wysokie stanowisko w rzpltej. Miał jeszcze w rękach drugie starostwo, które dla niego przeznaczył. Do Krakowa Spiz był ślicznym dodatkiem, stanowił prawie udzielne księstwo w górach karpackich. I Spiz był już w trzecim pokoleniu Lubomirskich. Wojewoda wziął tostarostwo od swojego ojca. Nie było żadnego o nie kłopotu, bo Lubomirski od kilkunastu lat w rękach swoich posiadał przywilej królewski, na mocy którego mógł oddać tę ziemię któremukolwiek synowi (od 14 października 1634, Metr. ks. 181 fol. 42). Ale o Kraków trudna była sprawa z królem; wojewoda bowiem, któremu król po śmierci hetmana Koniecpolskiego chciał oddać kasztelanią krakowską, przyjmował z wdzięcznością ten nowy dowód łaski pańskiej, ale pod warunkiem, żeby starostwo krakowskie dostało się jego młodszemu synowi. Jeżeli wojewoda miał swoje widoki, i król zapewne musiał je mieć także. Zdaje się że nadając kasztelanią krakowską wojewodzie, król musiał się upomnieć o starostwo. Ale wojewoda dla małej rzeczy nie chciał poświęcić większej, to jest przyszlności synów, i powaga jego w końcu wzięła górę nad uporem królewskim. Władysław IV, tak energiczny w jednej sprawie, w drugiej był bardzo słabym, bo potrzebował nieustannie względów senatorskich, najwięcej dla rozrzutności, którą potem opłacała rzplta. Dlatego zresztą, czy nie dlatego, ale król się namyślił i pozwolił wreszcie Lubomirskiemu ustąpić ze starostwa krakowskiego dla syna. Było to jeszcze w tymże samym 1646 roku, w którym dwa razy król częstował wojewodę kasztelanią. Niema śladów jakim sposobem nastąpiło porozumienie, ale to pewna, że w jesieni, a może jeszcze i w lato 1646 r. w ciągu kilku miesięcy król pozwolił, wojewoda ustąpił i Jerzy Lubomirski wjechał na starostwo, młody, niezasłużony i nie senator. Jeszcze w takich rękach nigdy starostwo krakowskie nie było. Król upierał się nietylko może dlatego, że za młodym był Lubomirski. Względów swoich nie rozrzucając, pamiętał pewnie, że wojewodzie już kilka razy ostro się względem niego stawiał. Na sejmie 1643 r. chciał go zażyć „na pewną rekwiizycją“, a Lubomirski żadną miarą zezwolić na nią nie chciał. Odgrazano mu wtenczas niełaską pańską, ale młody marszałek odparł zamachy dzielnym słowem: „wołę wszystko stracić, niżli wiarę ojczyźnie.“ Na sejmie r. 1644 także wystąpił przeciw królowi, bo nie pochylał wojny z Turcyą, do której wielkie król robił przygotowania. Wszystko to utrzc się musiało, i niechęci i spory, i oto Jerzy Lubomirski jest starostą krakowskim i bierze w spadku kamienicę w rynku dla przyjmowania gości. Uprowadził braci na jednej drodze.

W październiku 1646 r. radził sejm w Warszawie, pod łaską Stankiewicza pisarza żmudzkiego. Jerzy Lubomirski był obrany posłem na ten sejm i przyjechał także do Warszawy (4 listopada, Radziwiłł t. II strona 214). Ale z dostojnością i pycha już urosła młodemu panu. Na sejm spóźnił się umyślnie, co należało do senatorskiego tonu, i wjeżdżał do stolicy w niedzielę „z wielką assistencją“, co dowodziło równie senatorskiej pretensyi.

Właściwie na tym sejmie odbyło się pierwsze wystąpienie Lubomirskiego. Przed trzema laty, kiedy marszałkował, przyszło mu więcej pilnować toku i porządku rozpraw, jak mówić. Na sejmie Stankiewicza podnosił głos i z radością to widzimy, głos rozsądku i umiarkowania w sprawie o Trubeck.

Na drugim zaraz następnym sejmie, Lubomirski także był posłem (w maju 1647 r.) i tutaj przestrzegał praw rzpltej. Marszałek Sarbiewski, starosta grabowiecki, nie umiał sobie radzić. Dlatego pod koniec sejmu, przy spisaniu praw, ten sam był nieporządek co zawsze; jeden drugiemu przerywał, a każdy co innego wnosił. Lubomirski, widząc to, odezwał się głośno: „Według choroby lekarstwa przepisują. Przeto przynależy co większego napródz trutynować, jako to: o zaplacie żołnierzowi, o zaslanianiu granic, o bezpieczeństwie publicznym, a potem prywatne żądania roztrząsać.“ (Radz. t. II str. 266).

Na tém się skończyły publiczne zasługi Jerzego Lubomirskiego za panowania Władysława IV. W czasie bezkrólewia stanowisko jego, jako starosty w Krakowie, wysoko się podniosło. Z zamku na Wawelu miał Lubomirski obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem granic rzpltej. Nietrudna to była obrona, bo nikt rzpltej nie zaczepiał, ale Lubomirski porządnie mimo to ją prowadził, to jest czuwał pilnie i opatrzył miało załoga przeciwko państwu, dla którego ojciec miał już pewne zobowiązania. Na sejmie konwokacyjnym od izby poselskiej witał królową Maryą

Ludwikę i miał do niej mowę (19 lipca 1648 r., Albr. Stan. Radz. t. II str. 299). Króla nowego witał w Krakowie podczas wjazdu i oddał mu „dochowana stołeczna forteca w całości.“ (Pamiętniki do panowania Zyg. III i t. d. wyd. Wojcieckiego, t. II str. 42). Między jednym a drugim powitaniem, był Lubomirski pod Pilawcami i jak inni splamił się ucieczką.

Pierwsze stosunki Jana Kaźmirza z Lubomirskim były jaknajprzyjaźniejsze. Król życzył sobie, żeby posłowie obrali go marszałkiem sejmu koronacyjnego. Ale psuła wszystko ta niesforność posłów, ta gadanina niepotrzebna, to ciągle przeszkakiwanie od przedmiotu do przedmiotu. Jednego dnia elekcyi marszałka przeszkodził Mazurów, podniósłszy głośno krzyki przeciw zbiegom pilawickim, żeby ich sądzić, a tych co są posłami, żeby tymczasem z izby wyrzucić. Był tu głos i na Lubomirskiego w tych krzykach, więc pan starosta i siebie i braci bronić musiał przed niesławą haniebnych wspomnień pilawieckich. Gdy opór o to przez dni kilka nie ustawał, spytał się Lubomirski podkomorzego różańskiego, który najwięcej krzyczał na zbiegów, czy chce być z urzędu oskarżycielem braci? Cios doskonale trafił w serce. Podkomorzy odpowiedział, że o wszystkich w ogólności mówi, ale nikogo nie tyka osobliście. Nazajutrz też sama burza mazowiecka, ale gdy uspokoiło się nieco, posłowie zaczęli głosy dawać na elekcyę marszałka i już niemal wszyscy na Lubomirskiego sięzgdzali, kiedy pan generał krakowski, widząc tę jednomyślność za sobą, niespodzianie począł się wymawiać to słabością zdrowia, to zaciętością Mazurów. Cbociaż że wszęch stron ponowily się prosby, nie dał się jednak nakłonić. Było tutaj znowu i tonu trochę i wyrzutów szlachcie. Tonu, bo mógł Lubomirski z góry przed głosowaniem jeszcze wymówić się od łaski, wyrzutu, bo oporem swoim dawał znać, że nie chce przewodniczyć zaciętej i nierozumnej szlachcie, która rzeczy chciała prowadzić do ostateczności. Zrzekł się łaski w ostatniej chwili, kiedy już widział że od niego zależy marszałkostwo przyjąć. Następnego dnia posiedzeń Lubomirski nie przyszedł do izby poselskiej, żeby nie przeszkadzać elekcyi, i obrany został marszałkiem jednomyślnie Dubrawski podkomorzy przemysłski, „który ten ciężar przyjął mówiąc, iż lepsze jest posłuszeństwo, aniżeli ofiara.“ (Radz. t. II str. 355-6, w styczniu 1649 r.).

Oczywiście sromotna ucieczka z pod Pilawiec codzień była przedmiotem do rozpraw w izbie. Napisało konstytucyą, że zbierze się umyślnie sejm sledozy inkwizycyjny, na którym hetmani i kommissarze staną i będą sądzeni; senatorowie winni nie zasiąda na nim w senacie, a członkowie rycerskiego stanu nie mogą być za posłów obrani. Konstytucya była napisana, ale nie przyjęta, więc o nią najgorętsze spory. Jedni chcieli tę sprawę odłożyć do lepszych czasów, a teraz myśleć o bezpieczeństwie ojczyzny od kozactwa, drudzy pragnęli przedłużenia sejmu, żeby wysłuchać relacyi o ucieczce pilawieckiej. Już się poprzednio hetman tłumaczył i chciał donieść nieposłusznym, ale posłowie nie byli z tego kontenci. Lubomirski gotów był czynić drugą obszerniejszą relacyę, lecz mu tego nie dopuszczono, w ogromnym zamieszaniu izby. Ta okoliczność, że Lubomirski chciał składać relacyę, daje nam powód do wniosku, że będąc sam pod Pilawcami, rozprawiał o rzeczy dobrze sobie znajomej. Sejm był na włosku, ale przecie doszedł. Zbiegom pilawickim dano pokój, bo słusznie powiedział kanclerz Ossoliński: „gdy wszyscy podlegają karze, któż się znajdzie ich oskarżyciel.“ W istocie pod Pilawcami zgrzeszyło całe rzpltej rycerstwo. Dlatego i podkanclerzy kor. ks. Leszczyński winnych dochodzić nie chciał, bo przybyłoby przez to więcej zamieszania rzpltej. Klęskę przypisywał karze Bożej. Umiarkowanych zdanie przemogło.

Ale myśl narodowa mściła się i tak na zbiegach „plugawieckich“ i osobno na Lubomirskim, że śmiał ich bronić na sejmie. Lat kilka nie ustawały naigrania, urągano się zelżywie „rycerzom pospolitego ruszenia.“

Cały świat polski był wtedy w straszliwej zawierusze, z powodu hunt kozackiego, który na swojej drodze spotkał pilawiecką ucieczkę. Król prosto z sejmum poszedł na wojnę, trzech nazaczywszy regimentarzy. Jerzy Lubomirski posłał z porucznikiem Niepokojczyckim swoje chorągiew, toż swoje i brat jego starosta sądecki, pod wodzą porucznika Rajeckiego. (Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d., t. II str. 61). Starostę sądeckiego nazywają wszyscy Krzysztofem. Chyba Konstanty Jacek miał trzecie imię, ale to pewna że on był tym starostą, nie inny jaki Lubomirski, sam kanclerz Radziwiłł o tém świadczy. (Radziwiłł t. II str. 376). Ustąpił więc bratu ze starostwa Jerzy, a sam po ojcu wtedy może wziął spiz-

skie starostwo. Ojciec umarł w czasie tych urywanych walk z kozactwem, które się skończyły obleżeniem naszych pod Zbarazem (16 czerwca 1649 r.).

Król ciągnął obleżonym na odsiecz. O pół mili był od Zborowa, kiedy do jego obozu Lubomirski przesłał 600 piechoty i jazdy z działami (Radziwiłł, tom II str. 384). Sam generał krakowski pośpieszył także za panem. Król pomykał się z wojskiem do Zborowa przez groble stawu. W bitwie która się zawiązała z tego powodu, wiele zacnego rycerstwa poległo. Król nieustraszony coprędzej pułki przez groble przeprowiał, potem oboz rozłożył i otaborował, a zrobiwszy to, w pole wyszedł. Na lewem skrzydle dowodzili Lubomirski i Jan Sobieski starosta jaworowski, także Karol książę Korecki. Rozstawiwszy wojsko, o południu król objechał szyki i zachęcał rycerstwo, ażeby rezolutnie stawało piersiami za ojczyznę. Tatarzy sądzili, że nasi bój rozpoczną, wyjeżdżając przodem na harce, ale nie doczekawszy się tego, hański dwór pod znakiem trzech końskich ogonów napadł dawnym zwyczajem na lewe skrzydło polskie, dla sposobniejszego strzelania z łuków. Znali już nasi manierę tatarską. Skoczyli na wroga gracko, a pomógł im jeszcze silny wiatr, który Tatarom zasypywał oczy. Strzały więc z łuków żadnego nie sprawiły skutku. Wśród tedy niezmiernych krzyków z jednej strony „Jezus“, z drugiej „hała, hała!“ na lewem skrzydle Lubomirskiego toczyła się zawzięta walka. „Krew się rzesisto lała, bo tak się zeszyli tatarskie z naszymi szyki, iż z boku patrząc, rozumiałby kto, że w pobratymstwu wchodzą.“ Chmury tatarskie już przełamywały naszych i tak na prawem jak i na lewem skrzydle ludzie uciekali. Piechota Houwalda posłana im na pomoc. Przywódcy i król sam wstrzymywali bojaźliwych. Król kilku uchodzących za cugle od koni porwał, gardłem im groził, szpadą wreszcie zamykał im drogę. Wracali na plac boju, a kiedy piechoty się zbliżyły, zasypali nasi Tatarów gęstym kul gradem. Potocki wojewoda podolski, od rezerwy wzięwszy kilka pułków, z boków raził nieprzyjaciela. Hordy umykały się, a było już ku wieczorowi; nasi także wolno schodzili z pola. Nastąpiła noc strasznie ciemna, która posiała popłoch. Woźnice i czeladz zwolowali się w obozie. Wieść poszła, że król i panowie uchodzący myślą i że już pakują się na wozy, bo nieprzyjaciela strasznie wiele. Gotowała się druga sromotna ucieczka, jak niegdys z pod Pilawiec. Król wsiadł na koń i z pochodniami znowu oboz objeżdżał: prosił i zaklinał o męstwo, sam obiecywał głowę polozyć.

Nazajutrz szczęśliwie udało się Tatarów ująć. Pogodzili się z Polską, a bezpośrednim skutkiem było, że i duma kozacka musiała się uniznić przed rzpltą. Stały aż dwa naraz traktaty. Chmielnicki żadną miarą nie chciał przybyć do króla, żeby mu hold złożyć, bez zastawnika, i to znakomitego pana polskiego. Podobno i Kozacy tego po nim żądali. Król posłał Kozakom do obozu Lubomirskiego (19 sierpnia), który bawił u nich dopóty, dopóki Chmielnicki nie wrócił (Radz. t. II str. 382-4, Pamiętniki do panowania Zygmunta III i t. d., t. II str. 85-98).

Jerzy Lubomirski, o którego dzielności pod Zborowem dotąd nie mamy świadectw, wrócił do domu, jak wszyscy z wyprawy, i potem się wybrał na sejm do Warszawy w listopadzie. Król starostwami i urzędami nagradzał zborowskie zasługi. Lubomirskiemu nic się z początku nie dostało, dopiero sejm spełnił jego nadzieje. W sam dzień Bożego Narodzenia umarł Kazanowski marszałek nadw. kor. Było co brać po nim; to też kanclerz Radziwiłł mówi, „że były konkurencye różnych“, a my dodamy że silne, chociaż smutne dawały świadectwo o moralności publicznej. Jeden z ochotników na marszałkostwo dawał za nie 400,000 złotych królowej. Przeważał jednak w łasce Jana Kaźmirza i Maryi Ludwiki Lubomirski, który oczywiście nie kupował urzędu. Kiedy po nowym roku dwaj posłowie przyszli z izby upraszać króla o rozdanie wakansów, król oświadczył że Lubomirskiego mianował marszałkiem nadw. kor. (3 stycznia 1650, Radz. t. II str. 402). Spełniło się drugie oczekiwanie: wziął Jerzy łaskę Wolskiego, drugą kosztowność rodziny.

Na sejmie Wincentego Gosiewskiego (w grudniu 1650) wypadło Gosiewskiemu oddawać pieczęć mniejszą koronną sławnemu z przewrotności Radziejowskiemu. Marszałek był dumny niepospolicie, nawet na sejmie. Zrobił co mu powinność kazała, oddał pieczęć, ale nie mógł wytrzymać i zadrasnął za żywo nie Radziejowskiego, ale króla. Powiedział w mowie swojej, że nowy podkanclerzy przychodzi do godności swojej bardziej pieniędzmi, niż zasługami. Radziejowski w nikczemności swojej zbyt lekko przyjął wymówkę, ale król był oskarżony przed szlachtą. Otwartość to zacna, lekarstwo na podłość jedyne, ale w swo-

im czasie mało skutkowało, rozdrażniało tylko nienawiści. Radziejowski nie mógł być po tem wszystkim przyjacielem Lubomirskiego, ale marszałek o to nie dbał. Kasztelan zakroczyński dalej jeszcze poszedł w oskarżeniu króla i słowa swoje musiał odwoływać. Marszałek tylko gniewał się na tym sejmie na zepsucie monety; ogłoszono nagle tak zwaną defalkacją; według niego, rzplita miała szkody 10,000,000 złp. (Radz. t. II str. 428, 429).

Usunął się jeden Łukasz Opaliński na województwo rawskie: Lubomirski wziął po nim laskę wielką kor., marszałkiem zaś nadw. został drugi Łukasz Opaliński. Musiało to być na sejmie Gosiewskiego, bo bliższej daty nie mamy.

Pierwsze marszałkostwo swoje zagał Lubomirski kłótnią z poselstwem cara Aleksego, drugie nieszczęśliwiej dla siebie, gorzej dla rzpltej, bo z królem. Rzecz była taka:

Żupy solne stanowiły wtedy dochód królewski w Polsce. Prawo pospolite zakazywało więc, ażeby nikt nie ważył się kopać soli na swojej ziemi, a gdyby przypadkiem odkryły się jakie żupy, szlacheć miał na zamiar inne otrzymane posiadłości, a tracił swoje solne, które sły na skarb królewski. Lubomirscy tymczasem z bogactwami się wielce kopaniem soli. Jeszcze dziad Jerzego, kasztelan wojnicki, żupnik królewski, znalazł w swojej własnej wsi Lednicy szyb soli, który nazwał Lubomirzem. Miał wielką z niego intratę, ale i zadranych zato niemało. Donieśli królowi i kiedy przyszło umawiać się według prawa, kasztelan nie był sprzeciwny, ustąpił królowi i szybu i wioski, a sam wziął inne w ziemi wynagrodzenie. Wojewoda krakowski również przypadkiem odkrył w innej wiosce swojej Sierszy, obok Wieliczki, obfity szyb solny i nazwał tę żupę Kunegundą, na pamiątkę świętobliwej żony Bolesława Wstydlwego, o której było podanie, że pokład soli w Wieliczce i Bochni odkryła. Długo bez żadnego sporu Lubomirski używał tej żupy, aż król Władysław dowiedział się o tem i zaczął z wojewodą wchodzić w układy o jej nabycie. Była znów od ziemi rzpltej wyznaczona kommissya, dla sprawdzenia czy taż żupa nie robi uszczerbku jakiego dochodom królewskim. Dwa mamy o tej kommissyi podania. Jedno mówi że kommissarze głosowali za Lubomirskim i dali zdanie, że żupa wojewody nie królowi nie szkodzi; przysądził więc mu Kunegundę, a kanclerz Ossoliński wydał nawet stosowny wyrok. (Pamiętniki do panowania Zygmunta III t. II str. 160—1). Drugie podanie, bardzo ważne, bo pochodzące od kardynała Radziwiłła, mówi że Władysław umarł, nim się kommissya skończyła (Radziwiłł t. II str. 434). Wojewoda umierając, testamentem używanie tej żupy wyznaczył wszystkim trzem synom bez podziału. Bądź jak bądź, było tu zawsze nadużycie prawa; czy Ossoliński wydał wyrok czy nie, Kunegunda powinna była przejść na własność stołu królewskiego, i kanclerz, jeżeli wydał wyrok, zgrzeszył podwójnie, boć jego rzplta postawiła na straży swojego prawa nie na to, żeby pierwszy je łamał. Korzystali z tego liczni nieprzyjaciele Lubomirskich. Bodła ich znaczna trzech braci fortuna i znakomite dostojności, jakie piastowali. Marszałka także nie lubili, bo jak ojciec odrażał od siebie dumą. Prawda że były nawet i pobudki do tej niechęci dla marszałka mniej sprawiedliwe, bo jak świadczy historyk: „niemiłe onym były niedościgłe znośności Lubomirskiego przymioty.“ (Pamięt. do panow. Zygmunta III t. II str. 161). Nieprzyjaciele ci udali się do króla i dowodzili, że dobra ekonomiczne żup królewskich ruinują się, a Lubomirscy z ujmą rzpltej mają wielkie dochody z Kunegundy. Dodawali, że jeżeli skarb z nimi prawem o to czynić nie będzie, wiecznością sobie przyswoją tę żupę, która nie do nich należeć powinna. Zapewne w dowodzeniach tych mało było sprawiedliwości, ale Lubomirscy, szanując prawo, powinni byli ze swoich pretensyj ustąpić; już dosyć ojciec swoim uporem gorszył szlachtę. Otóż na nieszczęście dla tej sprawiedliwości, dla tego posłuszeństwa prawa, nie było w Polsce żadnego poczucia, zwłaszcza pomiędzy pany. Jakże tu marszałek wielki kor. ma ustąpić przed prawem? Tegoby nie pojął żaden Radziwiłł, Opaliński, Wiśniowiecki. Jak mógł to pojąć Lubomirski? Prawo przed ich oczami stawało jak osoba. Jakże nie stoczyć z nim pojedynku za mniemaną obrazę?

(Dokończenie nastąpi).

## Kronika tygodniowa.

Czy pozwolisz, szanowny redaktorze, ażebym za twoim pośrednictwem wniósł prośbę do gazety niemieckiej pod nazwą *Warschauer Zeitung*, w mieście naszym wychodzącej? Udałbym się do niej z petycją moją osobieście, ale ponieważ tylko po polsku pisac

potrafię, lękam się więc aby mię źle nie zrozumiano, czego uniknę jeżeli tę moją korespondencyjkę zechcesz zamieścić, drukowane bowiem łatwiej się czyta i lepiej rozumie.

Zwyczajem to jest oddawna przyjętym, że nazwy wszystkich imion własnych w każdym języku zachowują pierwotne swoje brzmienie. Tymczasem sąsiedzi nasi oddawna już odmiennego zupełnie względem nas trzymają się systematu. Mniejsza już o nazwiska miasteczek naszych i innych miejscowości, które niemiłosiernie przenięczają, na co dawno już zwracano uwagę. Robią naprzykład z Półwisia około Opolą, Halbenendorf, z Oleśna Rosenberg, z Sycywy Wartenberg i t. d., i t. d., i t. d., bo nieprędko skończylibyśmy wyliczanie tych wszystkich nazw przechrzconych. Mniejsza już mówię o to, ale dlaczego gazeta niemiecka, w Warszawie wychodząca, poprzemieniała nazwy ulic, tak iż prawdziwy nawet Niemiec nie zdola z temi nazwami do ładu trafić? I któż bowiem zrozumie co może znaczyć Weidenstrasse, Biergasse, Lösche, Boetcherstrasse i t. p. Jestże to sens, chociażby ze stanowiska ich własnej dogodności? Przypuśćmy iż ktoś mieszka na ulicy Mostowej i przyjeżdża do niego interesant z adresem Brückenstrasse, sam Niemiec nie mógłby mu wskazać ulicy, o której nie słyszał i której miano nigdzie nie jest napisane. *Warschauer Zeitung* suszy sobie bezprzeznacznie głowę nad wynalezieniem podobnych tłumaczeń, co się niezawsze może udać. I tak Tłumackie, Solec i kilka innych miejscowości warszawskich nie otrzymały dotychczas bierzmowania, a gazeta wspomniana najlepiejby może uczyniła, gdyby przywróciła wszystkim ulicom właściwe polskie ich nazwy. Wszakże wychodząc z tej zasady, możnaby i nazwiska polskie na niemieckie poprzeksztalcać i z Czarnieckich zrobić Szwartzów, z Czartoryskich Teufelsmanów, z Potockich Bachmanów, a ze Skargów Klagerów. Pytam się jakby to brzmiało pięknie i jakim sposobem ładu dojszemy mogli? Racz więc pan poprzec mój wniosek o przywrócenie właściwego brzmienia przekreślonym polskim nazwom etc.:

Złego korespondent nasz wybrał sobie pośrednika, zdawna bowiem pamiętamy to, że wnioski czynione przez nas nie były nigdy uwzględniane przez redakcją gazety niemieckiej. W każdym razie uważamy jednak za powinność naszą odezwać się w tej kwestyi, bo odłożywszy już na bok wszelkie inne względy, wyznać trzeba, że podobnego rodzaju przekręcania nazw są najzupełniejszym bezsenssem. Kilka lat temu wysła tutaj broszurka pewnego Francuza zamieszkałego w Polsce. Broszurka ta wymierzona była przeciwko naszym damom, którym się zdaje że mówią po francuzku, a rzeczywiście bardzo słabe mają wyobrażenie o języku Moliera i Wiktora Hugo. Pomiedzy innymi zarzutami wymienionymi tam, Francuz ów przytaczał nazwy ulic, którym owe damy nadają jakies tytuły własnego wynalazku. I tak ulica Miodowa nazywała się u nich *rue du miel*, albo *rue de miel*, Senatorska *rue des sénateurs*, Elektoralna *rue electorale* i t. d. Otóż Francuz twierdził bardzo słusznie, że trzeba mówić *rue Miodowa*, *rue Senatorska*, *rue Elektoralna* i że w żadnym kraju pod słońcem inaczej się nie mówi. Pod tym względem szczęśliwi są Chińczycy albo Japończycy, bo ani owe damy nasze, które dzięki Bogu, poprawiły się już po większej części z tej śmieśności, ani nawet *Warschauer Zeitung*, nie potrafiłyby przekształcać po swojemu nazw ich miejscowości. Chociażby dziesięć gazet niemieckich pisało o Hon-Tsu-Lang, to nie dadzą sobie rady z wynalezieniem na to miasto właściwego niemieckiego wyrazu. W najgorszym razie przekręcą tylko brzmienie i litery, jak to może i ja niechący czynię, ale Chińczyk nie rozgniewa się zato, bo powie sobie iż niekażde usta tak są dogodnie utworzone, żeby wymówić bez błędu chiński wyraz, bo niekażdy język posiada na swoje zawołanie 40,000 liter i brzmień różnych. Prawda jednak i to, że nazwiska polskich miejscowości, i w ogóle nazwiska Polaków, przedstawiają nieraz cudzoziemcom wielką trudność do wymówienia i w ustach Niemców albo Francuzów niebywałe ztąd nieraz tworzą się dziwolagi.

Nie pamiętam z jakiej już okoliczności wydany został w Hamburgu kilkanaście lat temu świetny obiad przez tamecznych kupców. Otóż na tym obiedzie znajdowało się pomiędzy innymi trzech polskich obywateli. Byli to panowie: Kiki, Kosicki i Korytnicki. Owóż kiedy nadeszła chwila toastów, jeden z gospodarzy biesiady powstał, i odwracając się z kolei do polskich gości, wypalił do nich długą, serdeczną a rozczulającą przemowę, i nakoniec wznosząc w górę kielich, zawołał na cały głos:

„Niech żyją panowie Kiki, Kikiki i Kikiriki!“  
Czytelnicy pojma łatwo, że dziękującym za toast i prze-

zawołał, zaledwie podobna było wstrzymać się od śmiechu.

„Stusznie bardzo, pisze do nas jedna z czytelniczek Tygodnika, wytknął pan w przeszłej kronice nieortograficzny napis na omnibusie. Jeżeli właściciele albo dzierżawcy omnibusów nie znają ojczyźnego języka, powinni przynajmniej w tym względzie zasięgnąć od kogo wiadomości. Przywodzi mi to na myśl jeszcze i tę uwagę, że odzież przez konduktorów omnibusowych używana nie jest właściwa. Jak wiadomo, za granicą ubrani oni mniej więcej jednostajnie; i u nas tak samo się dzieje, ale jednostajność tę stanowi dawny i zarzucony już krój sukien wznawców wiary moźeszowej. W ślad naturalnie za tym krojem idzie i niemiecki zepsuty język, i ten u niektórych konduktorów omnibusowych stał się urzędowym, zwłaszcza w rozmowach jakie prowadzą ze współwyznawcami, których ciągle zabięrają po drodze. Dobrzeby to było, gdyby omnibusy te krążyły w Berlinie albo w Wiedniu, ale dla publiczności warszawskiej jest to i niedogodne i nieprzyjemne.

„Nie pod wpływem złośliwości ani chęci przesławiania uczyniłam powyższą uwagę, ale dla zobopólnego dobra i korzyści ogólnej.

„Z tychże samych powodów osmielałem się uskarżać na wielu panów, którzy bez względu na obecność kobiet w karetach omnibusowych, oddają się bez miary namiętności palenia cygar i papierosów i zawędzają w całym znaczeniu tego wyrazu siedzące z niemi damy. Gdybyż choć pytano się nas o pozwolenie, jak to w całym ucylizowanym świecie ma miejsce, ale i tego nie czynią. Nie przez kapryśność ani przywrozenie niektóre kobiety nie mogą znieść dymu cygarowego; działa on szkodliwie na ich nerwy i częstokroć przyprowadza o mdłości. Nasi zaś panowie nie zważają na to, i jakby na przekorę, obecność kobiet podnieca ich do namiętniejszego korzystania z tej przyjemności, kiedy już ją tak nazywają. Mniejsza zresztą o to, że oni sami palą papierosy, ale dlaczegoż ich papierosy mają nas palić? Onegdaj wysiadłam z omnibusu z dwiema wielkimi dziurami w nowej sukni wypalonymi. Zawdzięczam to jakiemuś jegomości, który siedząc naprzeciwko mnie, jakby naumyślnie otrząsał ciągle popiół na moję suknię, bez uwagi na to, że na podpalaczów prawo surowe kary oznacza. Chciej pan zamieścić w kronice te moje uwagi, etc. etc.

Rzeczywiście, co do cygar i papierosów przyznać należy, że w paleniu ich zamało może zwracamy uwagi na dogodność drugich, a zwłaszcza kobiet. Wszakże puszczanie dymu z ust nie jest niezbędną potrzebą, żeby się od niego na chwilę wstrzymać nie można było tam, gdzie widzimy że dogodność ta nasza, jest niedogodnością dla innych osób. Omnibusy, zwłaszcza wiedeńskie, podzielone są na dwie oddzielne karetki, mężczyźni mogą więc korzystać z jednej, oddając się w niej do syta ulubionej przez siebie przyjemności, a drugą pozostawiać kobietom. Jeżeli zaś mężczyzna znajdzie się przypadkiem pomiędzy damami, to niech pamięta o tem, że nie one do niego, ale on do nich stosować się powinien. Bo swoboda każdej przyjemności jakiej używamy o tyle jest dobrą i korzystną, o ile nie ogranicza swobody drugich. Z tego uszanowania zobopólnych wymagań, tworzy się dopiero prawdziwie dobra organizacja społeczeństwa.

W ogóle sądzimy, że rozpowszechniające się coraz bardziej używanie papierosów, bardzo niedobre może przynieść skutki dla zdrowia publicznego. Jeżeli, według zdania doktorów, sam tytuń jest szkodliwy w cygarach albo fajkach, to olejek wydobywający się z palonego papieru, daleko jeszcze większą szkodę zdrowiu przynieść może. Słyszeliśmy jak niejedyn doktor zalecał pacjentowi, żeby, kiedy już od tytoniu odzwyczaić się nie może, palił cygaro albo fajkę, ale żeby papierosów strzegł się nadewszystko. A jednak nie do uwierzenia prawie wielka ilość wychodzi ich w Warszawie: każdy handel i handelek sprowadza papierosy z Petersburga, Moskwy i Odessy, i fabryki nasze ogromną ilość ich wyrabiają, a oprócz tego istniały i istnieją pokatne fabryki, które na wyrobie papierosów sporo zarabiają pieniądze. Niktby nie uwierzył jak jest korzystnym ten groszowy handel. Znamy pewną rodzinę, która przez kilka lat zbudowała sobie dwie kamienice, a teraz już do trzeciej przysposabia materyały. Na tę fabrykację wychodzą ogromne pliki bibuły angielskiej; całe belę papieru i liczne arkusze waty do przytrzymywania tytoniu. A to wszystko osiada na płucach biednej publiczności warszawskiej. I dziwić się tu, że widzimy tylu ludzi kaszlących i uskarżających się na ból piersi! Gdyby papier wychodzący rokrocznie na papierosy, obracano na drukowanie książek, możnaby nadrukować tysiące tomów. I znalazłby się nawet fundusze na wykupienie tych wszystkich dzieł, gdyby przeznaczano na ten użytek pieniądze na zakupno papierosów obracane.

## SZCZĄTKI ZAMKU W RADZIEJOWICACH.

Wies Radziejowice, niedaleko kolei żelaznej o milę od miasteczka Mszczonowa położona, była odwieczną własnością jednej z owych niezmiernie licznych rodzin szlacheckich, w jakie obfitowało niegdyś Mazowsze. Rodzina ta, przybrawszy od majątności owęj nazwisko panów z Radziejowic, a następnie Radziejowskich, przez rozmaite stosunki i kolligacye już w XV stuleciu była dość zamożną, czego mamy dowód na Jędrzeju z Radziejowic, który w r. 1503 był kasztelanem sochaczewskim, potem wojewodą płockim, przytém starostą rawskim i t. p., oraz na innych godnościach piastowanych przez jego synów i dalszych spadkobierców.

Z dawien dawna Radziejowscy odznaczyli się intrygami, chęcią wywyższenia się niezawsze godziwymi środkami, obłudą, w końcu zaś splamili się zdradą kraju, która ich nazwisko smutnie w dziejach narodowych zapisała. Dostyć tu wspomnieć znane ich zabiegi w XVI wieku na dworze książąt mazowieckich, aby przez miłosne intrygi splatać dwóch ostatnich

ny panegirysta domowy, iż przynajmniej dziesięć razy gościł w progach pałacu radziejowskiego.

Chłonęło to niemało dostatków domowych, ale odpłacało się hojnie dostojenstwami i reputacją. Z urzędnika dworskiego, został tóż Radziejowski wkrótce senatorem wojewodą, a kiedy mu się syn urodził, król trzymał go do chrztu i bawił ze swoim dworem kilka dni w domu wojewody, przyjmując udział w wyprawianych z tego powodu uroczystościach i rozrywkach, o których obszernie i dokładne szczegóły podają pamiętniki.

Bezwątpienia tenże sam Radziejowski wystawił zamek w Radziejowicach, chociaż był to właściwie tylko pałac otoczony pięknymi ogrodami, zwierzyńcem i budynkami do pomieszczenia tysiąca gości; nie posiadał bowiem żadnych środków obrony, żadnego muru ani wału dookoła, a kilkanaście działek w dziedzińcu służyło tylko do wiewatów przy uctwach. Podług opisu Labourea, który towarzyszył marszałkowej de Guebriant, odwożąccej królową Maryą Ludwikę do Polski, a ugoszczanej tam w Radziejowicach,—we środku stał znaczny budynek, z dwiema obszernymi

wielką ilość znajdujących się zegarów, zastanawiała cudzoziemca.

W tym to pałacu, pośród hulatyk i zbytków, wychował się Hieronim Radziejowski, znany za czasów Jana Kazimierza podkanclerzy koronny, od młodości zepsuty, lekkomyślny, namiętny i burzliwy, jak go nam dokładnie teraz wystawił uczone Szajnocha (Bibl. Ossoliń. t. II.) I ten umiał korzystać z dziedzictwa Radziejowic, sprowadzając monarchów do swęj siedziby i występując świetnie na ich przyjęcie. Jeszcze kiedy był starostą łomżyńskim, uprosił króla Władysława IV, by odprowadzając w r. 1642 siostrę swoję Annę za granicę, wstąpił do Radziejowic, gdzie go wraz z całym orszakiem uroczystie podejmował. Odwiedziny podobne cenil on wysoko i przechwalał się z tego, rozkazawszy sporządzić tablicę marmurową, na której wyrte były imiona królów i królowych, kiedykolwiek sutemi bankietami w Radziejowicach uruczanych. Przejeżdżającym przez jego strony cudzoziemcom, których ściągali do zamku, dawał on tym sposobem poznać znaczenie swoje w kraju, nieraz ugoszczając ich aż do zbytku tak, iż sami zeznawali,



SZCZĄTKI ZAMKU W RADZIEJOWICACH. (Podług obrazu olejnego J. Suchodolskiego.)

z tego szczepu władców i zmusić ich do połączenia się z ich rodziną węzłem małżeństwa. Gdy im się to nie udało, zacierając niepomyślnie kroki, umieli wcisnąć się na dwór królów polskich i tam łowiąc obfite łaski, z czasem przyszlizli do znaczenia i wielkiego wpływu w kraju.

Dopomogła im także okoliczność przeniesienia stolicy państwa z Krakowa do Warszawy, wtedy bowiem, posiadając blisko tego ostatniego miasta majątność swoję, ówczesny jej dziedzic Stanisław Radziejowski, faworami dworskimi zdawną zaszczytany, miał sposobność ugoszczania nieraz całego dworu królewskiego, podejmując pod swoim dachem jadących do stolicy wyższych urzędników, senatorów, a nawet i samego króla. Nie było żadnego posła zagranicznego, żadnego nuncjusza apostolskiego, któryby nie doznał gościnności w Radziejowicach. Każdy z królewiczów miał zawsze podziękować za coś Radziejowskiemu; nigdzie królowa Konstancja nie używała z taką przyjemnością kąpiei, jak w łazienkach jego zamku, a o królu Zygmuncie III donosi pewien uczo-

oficznymi, które dość zawierały pomieszkania, wszystkie zaś były z kamienia i cegły stawiane. Ogród był rozległy, wesoly i ozdobiony w to wszystko, co się oczom podobać mogło. Z jednej albowiem strony były tam wody, z drugiej kwiaty, szpalery, drzewa i altany, które służyły do różnych potrzeb i rozrywek, do odpoczynku, bilardu i innych gier, a nawet każdy z tych domków miał ponad sobą piętro mieszkalne. Za ogrodem rozciągał się zwierzyńiec, przez środek którego prowadziła ulica. Zwierzyńiec ten był częścią oparkanioną, częścią opasany iglastymi drzewami. Wśród niego płynął strumyk, co kanałem ogrodowym dostarczał wody i wpadał w staw wielki kwadratowy, oblewający zamek z jednej strony. Miłe to wszystko, powiada Laboureur, sprawiało oku wrażenie. Wśród stawu leżał dom okrągły czyli wieża, którą otaczały zewsząd gołębniki. Przed stawem plac wielki owalny, mający z jednej strony wnięście do Radziejowic, z drugiej do pałacu. Niemniej wspaniale urządzone był i wewnątrz: pokoje obite drogimi adamaszkami, stoły i szafy przyozdobione sztukami wyrobionymi z bursztynu, złota lub srebra, tudzież

że nigdzie tyle nie pili jak w domu Radziejowskiego. Za pomocą tych i innych środków, wyniósł się on w znaczenie i dostatki ogromne, lecz w końcu splatawszy się, wpadł w sidła na drugich zastawione i musiał uciekać z kraju. Potém zaś, gdy nieszlachetną zemstą uniesiony, zaczął działać przeciw własnemu krajowi i monarsze, zabrano mu jego dobra, a z temi i Radziejowice, które przeszły wtedy na własność Jędrzeja Olszewskiego biskupa chełmskiego, podkanclerzego koronnego. Uczony biskup z upodobania mieszkał w tym pałacu i niechciał go długo odstąpić starającemu się oto usilnie synowi Hieronima, Michałowi Radziejowskiemu, który był potém kardynałem i prymasem, chociaż także nieszczęśliwym człowiekiem i niebardzo wzorowym Polakiem. W końcu jednak Michał odkupił Radziejowice, a zostawszy arcybiskupem gnieźnieńskim, zamiast w Skierniewicach, przeszło dwadzieścia lat przesiadywał w majątności ojcowskiej, którą wstawił tak długim swym pobytom. Tu gromadził skarby zbierane z cheiwością i niezawsze godziwie, tu otaczał się towarzystwem nieraz przeciwnym powadze stanu duchownego, co jednak nie

przeszkadzało, iż w danym razie gościnnie także przyjmował ówczesny świat wyższy, a nawet po monarшому wystąpił na uczerzenie przyjeżdżającej do Polski małżonki królewicza Jakuba Sobieskiego, którą wspinał w Radziejowicach podejmował. Lecz gdy nastąpiły czasy burzliwe i prymas swoim dwuznacznym postępowaniem stronom wojującym naraził się, musiał opuścić ulubione Radziejowice, chroniąc się do Gdańska przed zemstą która go czekała. Skarby atoli jego wpadły w ręce pogoni i Radziejowice ziupione wtedy zostały.

W rok potem umarł prymas, ostatni z tego rodu potomek. Radziejowice wraz z innymi dobrami odziedziczyli po nim jego siostrzeńcy Prazmowscy, od tych nabyli je Ossolińscy, a dalej w drodze spadkowej przeszły na własność Krasieńskich, w których ręku dotąd znajdują. Ci ostatni nie tylko ruiny pałacu podtrzymali, ale i wzniesli w Radziejowicach w roku 1822 w miejsce drewnianej kapliczki, piękny murowany kościół, utworzywszy nową parafię, przedtem do Mszczonowa należąca.

Dziś z dawnego pałacu część tylko ocalała, staraniem Józefa Krasieńskiego podtrzymana, wraz z wieżą i parą gołębnikami, o których w dzienniku swoim wyżej przytoczony Laboureur wspomina. Ze szczątków tych rozpoznać można, iż gmach w stylu włoskim stawiany, do pierwszych lat XVII stulecia odnieść należy. Przy nim istnieje jeszcze ogród, a w nim rosną stare cyprysy, pomiędzy którymi Pani Guebriant za Władysława IV z dworem swym przechadzała się. Lecz co najważniejsza, przechowują tutaj bibliotekę, w której znajdują się ma wiele rękopisów, obejmujących w sobie do historii rodu Radziejowskich ciekawe i nieznanne szczegóły. Że zaś mogą one być i pod innymi względami dla nauki pożyteczne, byłoby przeto pożądanem, aby o nich bliższą podano wiadomość.

Urodził się d. 17 maja 1490 r. z Fryderyka margrabi brandeburskiego, z linii ansbachskiej-Beireuth, i z Zofii córki Kaźmirza Jagiellończyka, a siostry Zygmunta I króla polskiego. Gdy Fryderyk książę saski, mistrz krzyżacki, podupadł tak znacznie na zdrowiu, że blizki zgon jego z pewnością przewidzieć było można, przeczorny biskup pomeraniański Job Dobeneck, który od niejakiemu czasu sprawował namiestniczą władzę nad zakonem, zawczasu i jeszcze przed śmiercią

Zanim jeszcze z ojcem na dobre się ułożono, zaszła śmierć mistrza Fryderyka, a biskup Job tak czynnie zamiar swój popierał, iż zwoławszy kapitułę zakonu, nie czekając nawet na mistrzów prowincjonalnych z Inflant i Niemiec, przełożył im położenie rzeczy, pokrewieństwo margrabię Albrechta z królem polskim i łatwo wszystkie głosy na jego wybór pozyskał r. 1510.

Drażliwe bezwątlenia było podówczas położenie zakonu w stosunku do Polski, gdyż od pokoju zawartego w Toruniu d. 19 października 1466 r., mistrz i zakon krzyżacki ze wszystkich ziem pruskich przy których się utrzymali, zostawali pod zwierzchnictwem królów polskich, a każdy mistrz w sześć miesięcy po swym wyborze obowiązany był osobiście przybyć do Polski i wykonać przysięgę wierności. Jednakże, począwszy od Marcina von Wetzhausen obranego r. 1477, zaczęli się mistrzowie od tej przysięgi uchylać, co naturalnie wywoływało nowe niepokoje i wojny, a mistrze prawie tylko przemocą doswej powinności zagnani bywali. Dlatego też król Zygmunt, nim jeszcze miał wiadomość o wypadku wyboru, zapowiedział Krzyżakom, że nie zgodzi się na mistrza, któryby od holdowniczęj przysięgi chciał się usunąć. Lecz Krzyżacy dali odpowiedź, że królowi prawo mieszania się do obioru nie służy, a wreszcie iż postawili na czele swoim jego siostrzeńca.

Tymczasem też na zjeździe w Piotrkowie margrabia Kaźmirz, brat Albrechta, wchodził z wujem w układy, względem mistrzostwa ofiarowanego bratu swemu; stanęło na tem, że odtąd wolno będzie Krzyżakom Polaków do zakonu nie przyjmować, Albrecht zaś miał wykonać zwykłą przysięgę homagialną, jak jego poprzednicy.

Nowy mistrz w r. 1512 przybył do Prus i d. 22 listopada odprawił wjazd uroczysty do królestwa. Uplywał rok jeden i drugi, Albrecht ani myślał o przysiędze. Król napomnił go roku

1513, wzywając do Poznania na dzień 12 kwietnia, dla wykonania holdu i grożąc zarazem wojną w razie przeciwnym. Margraf Kaźmirz czynił starania, aby spowodować pojednanie; Albrecht jednak, lubo siostrzeniec królewski, lecz jako Niemiec mając większą skłonność do rzeszy niemieckiej niżeli do Polaków, myślał raczej tylko o wydobyciu zakonu z pod wszelkiej zależności. Obsyłał więc do cesarza i książąt niemieckich po radę i posiłki, królowi zaś kazał oświadczyć, że brat jego



ALBRECHT KSIĄŻĘ PRUSKI. (Podług sztychu znajdującego się w dziele Hartknocha „Alt-und Neues Preussen“)

## ALBRECHT KSIĄŻĘ PRUSKI.

(Opowiadanie historyczne).

Albrecht albo Albert margrabia brandeburski, ostatni mistrz zakonu Krzyżaków, a potem książę pruski, odegrał ważną rolę w dziejach Europy i Polski; wspomnienie więc o nim w piśmie naszym nie będzie niewłaściwem.

wielkiego mistrza z bratem jego Jerzym ułożyli, iż w trudnym położeniu zakonu naprzeciw przeważnej Polsce, osobliwie gdy i papież Juliusz II krzyżacką stronę widocznie opuszczał, nie będzie stosowniejszego, jak wciągnąć do zakonu młodego Albrechta, zrobić go wielkim mistrzem. Ojciec jego, mając kilku synów, a niezbyt obszerną krainę, łatwo się nato zgodził i skłonił syna, iż przywdział habit zakonny.

Kazmirz przeszedł swoje pełnomocnictwo, jeżeli w Piotrkowie względem przysięgi zobowiązania poczynił, że wreszcie papież, cesarz i mistrze prowincjonalni w Niemczech wcale nie są za tą przysięgą.

Król, przyciśnięty podówczas wojną z Moskwą, z której mistrz umiał korzystać, wreszcie najazdami Tatarów, nie mógł sprawy krzyżackiej siłą oręza popierać. Siła wreszcie mogła wymusić tylko chwilowe posłuszeństwo. Zresztą chodziło tu nie o podbój, ale o prawne przyłączenie ziem krzyżackich do Polski; wiedziano zaś dobrze iż tylko przez dobrowolne zjednoczenie się ziem i ludów da się to skutecznie. Obok więc wojny moskiewskiej, toczyły się ciągle rokowania w sprawie krzyżackiej, z różnemi bardzo, a czasem groźnemi kolejami, gdyż cesarz Maksymilian, niechętny także Polsce, bo rywalizujący z domem jagiellońskim o Węgry i Czechy, żywił ciągle ducha oporu w wielkim mistrzu, a nawet zawazywał groźną koalicją przeciw Polsce. Gdy jednakże r. 1515, na zjeździe w Prezburgu, albo raczej w Wiedniu, przez związane małżeństwo niechęci wszelkie usunięte zostały, wtenczas i Krzyżacy z tej strony utracili główną otuchę. Następny cesarz Karol V, mając na myśli wypędzenie Turków z Europy, potrzebował w tym celu Zygmunta; nakazał więc mistrzowi, aby należy hołd Polsce złożył. Stosunki też wewnętrzne Krzyżaków same w sobie coraz bardziej się rozpadły i zapowiadały panowaniu zakonu w Prusach rychły koniec. Pomimo to mistrz hardy w r. 1518 udał się do Niemiec, mianowicie zaś do Berlina, pozwolił wykupić stryjowi swemu kurfirstowi Joachimowi I Marchią, którą zakon dotąd w zastawie posiadał, zastawił nawet swe dziedziczne kraje i zgromadził armią z 14,000 ludzi.

(Dokończenie nastąpi).

## KORRESPONDENCYA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Węgierskie Hradiszczce na Morawie. 12 lipca 1863 r.

(Dokończenie).

Wieś rzeczona Stare-miasto leży dziś w znacznej od Morawy odległości, co się napozór zdaje sprzecznym z zachowaniem o położeniu dawnego Welehradu wiadomościami; nazwa jednak Staréj - Morawy, przywiązana do wyschłego dziś, tuż przy wsi ciągnącego się łożyska, wskazuje że rzeka ta kiedyś tedy płynęła, zamieniając w warowne trzęsawiska dzisiejsze łąki i niziny, które i dotąd jeszcze wezbrania choć oddalonej Morawy rokrocznie zalęwają. Szczęty wałów, gdziegdzie wyraźniej lub słabiej zachowane, tudzież nomenklatura niektórych miejscowości, pozwalają mniej więcej dokładnie oznaczyć obwód zaginionego miasta od północy i zachodu, podczas gdy łożysko wspomnianej Staréj-Morawy granice jego od wschodu i południa zaznacza. Kształt jego zbliżał się do podłużnego czworoboku, którego długość wynosiła do tysiąca, szerokość od czterystu do sześciuset sążni.

Na miejscu temu, więcej już jak przed laty tysiącem, stało miasto, czyli osada *Diewin*. W połowie dziewiątego wieku Ratisław, władca morawski, założył przy niej warowny gród, rozległością i obronnością swoją, wedle zeznań niemieckich kronikarzy, wszystkie znane twierdze słowiańskie i niemieckie przewyższający. Gród ten, o który napróżno rozbijały się po wielokroć zapędy niemieckich zastępów, naturalnie stał się stolicą morawskiej rzeszy i słońca począł pod nazwą głównego czyli wielkiego grodu, która to nazwa nakoniec dawniejszą *Diewina* niemal całkiem zatarła. Tu to w 863 r. przybyli z Carogrodu apostołscy bracia Cyryl i Metod, znaleźli gościnne u Ratisława przyjęcie, i ząd rozpoczęli wielkie dzieło nawracania, które na dalsze losy Słowiańszczyzny zachodniej wywarło wpływ nieobliczonych skutków pełny. Ząd po Ratisławie władli potężną rzeszą następcy jego Światopluk i Moimir II, aż do nieszczęsnego pod tym ostatnim morawskiego państwa upadku. W r. 907 Madziarzy, rozbijwszy w walnej u Preszpurka bitwie wojsko i państwo Moimirowe, zagarnęli prawie całą dzisiejszą Morawię, a wraz z nią i stołeczny Welehrad.

Przez lat pięćdziesiąt jeszcze dawna morawska stolica istniała jako węgierska warownia. Lecz gdy w połowie dziesiątego wieku udało się Bolesławowi I, księciu czeskiemu, Madziarów wyprzeć z Morawy, ci, zmuszeni opuścić Welehrad, wpiérw go w popiół i ruinę zupełną obrócili. Zniszczenie to miało miejsce w 957 r., od którego to czasu nie napotykamy już żadnej historycznej o mieście tém wzmianki, jakkolwiek nie można wątpić, że na zwaliskach dawniejszej świetności z ocalałych mieszkańców jakaś nieznanca istnieć nie przestała osada.

W siedm dziesiąt lat dopiero po zniszczeniu go przez Madziarów, nazwa Welehradu wynurza się z niepa-

mięci i miejsce nabiera znowu wprawdzie nie politycznego, ale religijnego znaczenia. W r. 1030 książę morawski Brzetysław, ścigając Madziarów, którzy nowo Morawę byli zajęli, przybywszy na miejsce gdzie niegdys świętynia Ratisławowa stolica, rozczulił się widokiem zniszczenia jego i opuszczenia. „Patrząc na miejsce to, (są własne Brzetysława wyrazy) zład chrześcijaństwo tak szczęśliwie na Morawie się przyjęło, serce moje aż do Jez ściętnione zostało, widokiem jak tu wszystko przez bezbożnych Madziarów spustoszone, zniszczone i w ruinach porzucone leży. Wszystkie kościoły w tej stronie naszego państwa złupione i zbezczeszczone. Dlatego też postanowiłem wszelką zdobycz, jaką dziś się z pomocą Bożą niszczycielom tym i łupieżnikom odjąć udało, na podniesienie, uposażenie i przyozdobienie kościołów tych obrócić...“

Wierny temu postanowieniu, odbudowawszy zniszczony kościółek św. Jana chrzciciela, wystawił przy nim klasztor, który sprowadzonymi z Czech benedyktynami osadził; drugi zaś, również odbudowany, kościół maryjański, przy którym niegdys zamieszkiwał św. Metod, jako filią do parafii pobliskiego przez się założonego miasteczka Spytyniowa przyłączył. Z podniesieniem obu świątyń, podniosła się nieco i osada sama, stawszy się miasteczkiem targowym (*villa forensis*), jakim aż do założenia Hradiszczca pozostało. Od tego to czasu zapewne zeszedł na wieś prostą Welehradowi dostała się nazwa Starego-miasta; nazwanie zaś Welehrad przywiązało się do głównej świątyni i klasztoru w niej położonego, które po dziś dzień tę wspaniałą historyczną nazwę noszą.

Kościół ten i klasztor stoją na témże samém miejscu, na którym niegdys stała arcybiskupia rezydencyja Metoda i ówczesny katedralny kościół N. P. Maryi, jak powyżej wspomniano, po zniszczeniu dawnego Welehradu przez Brzetysława z gruzów podniesiony. Na początku trzynastego wieku Władysław I, książę Morawy, odkupiwszy od parafii spytyniowskiej grunta i budynki welehradzkie, przez Brzetysława jej nadane, również jak grunta do benedyktynów tu osadzonych należące, zbudował na miejscu dawniejszego maryjańskiego kościoła nowy okazały gmach i przy nim cystersów osadził, hojnie ich owemi odkupionemi grunty uposażając. Nowy ten przybytek otrzymał nazwę Nowego-Welehradu.

Ze wspaniałej tej, w romańskim stylu z kamienia wzniesionej budowy, dziś niewielkie już tylko pozostały ślady. Po kilkakroć zniszczeniem dotykana i odbudowywana, w obecnym swym kształcie istnieje dopiero od pierwszej połowy zeszłego wieku. Wejście do niej z dziedzińca klasztoru, który, jakkolwiek nie może się z naszym jasno-górskim porównać, dość imponujący jednak ma pozór. Sam kościół, dwiema wieżami ozdobny, ogromem swym głównie z zewnątrz uderza. Nad ozdobnym pilastrami z rozmaity rzeźbą i posagami wnijściem, widać herby połączone Czech i Morawy, lwa i szachowaną orlicę. (1).

Bardziej jeszcze niżli z zewnątrz, uderza ogrom kościoła za wejściem do niego. Dość powiedzieć, że 10,000 ludu bez ścisłu zmieścić się w nim może. Główna nawa wraz z prezbiterjum ma długości z górą 120 łokci, a 15 szerokości. Na pierwszy rzut oka przypomina nieco wrażenie jasnogórskiego kościoła; tylko że gdy sklepienie czestochowskiego ginąć się zdaje w wysokości, welehradzkie, zbyt będąc niskim do ogólnego rozmiaru budowy, niejako gnieść się zdaje patrzącego. W środku prawie długości, gdzie nawa łączy się z częścią kapłańską i dwoma bocznymi ramionami kościoła, wznosi się wdzięcznie zaokrąglona, oświetlona czterema oknami i do około biegnącą galerją otoczona kopuła.

W ogólności, wyjąwszy przynizkiego sklepienia w głównej nawie, proporcey architektoniczne budowy są szlachetne i wspaniałe; ażeby jednak wrażenie to uczuć się dało, trzeba ją zwidzać w chwili gdy zmierzch nadwieczorny mniej widocznymi drobnymi szczegóły czyni. Na nieszczęście bowiem przystojono ją w tym niegodziwym, pstrokatym, jezuickim stylu, gdzie, rzecz można, przed świętymi i aniołami Pana Boga nie widać, gdzie mnóstwo drobnych ozdób i ozdóbek tak rozrywa oko, że ogólniej harmonii gmachu uchwyć mu niepodobna. Gdzie tylko było miejsce na przycepienie jakiego gipsowego aniołka lub posążku, z pewnością tego uczynić nie omieszkanono; ściany zaś i sklepienie całe malaturą zapaćkane. Wiém ci ja o tém, że są kościoły i świeckie nawet gmachy, gdzie to bogactwo ozdób w harmonijną splata się całość; ale w Welehradzie właśnie na tym przymocie im zbywa. Zdaje się że ta cała ozdobność nie była

(1) Morawa ma w herbie orlicę, w czerwone i białe pola szachowaną, z podniesionymi skrzydłami, podobnie jak nasze orły.

w planie pierwotnym budownika, i że dopiero po skończeniu gmachu, w miarę dobrej woli i funduszów, wnętrze przystroić się silono. Pomimo woli i tu wydarło mi się westchnienie, do którego nieraz powód podały mi nasze kościoły: mój Boże! żeby ci pobożni mniej byli hojni, albo więcej mieli gustu!..

Rzeczywistemi ozdobami kościoła są: piękne z sztucznego marmuru pilastry, sklepienie głównej nawy wspierające; ołtarz wielki, wspaniałe dzieło z różnokolorowego marmuru, przez włoskiego rzeźbiarza Fontanę dokonane; kilka obrazów ołtarzowych przez mnicha Hynka Raba malowanych; a zwłaszcza przepysznie z dębowego drzewa rżnięte ławki dla księży (stale), z 1695 r. pochodzące. Wszystkie boczne ołtarze są także w zupełności z różnobarwnych marmurów zbudowane. Po prawej stronie u wnijścia do części kapłańskiej stoją na marmurowej podstawie gipsowe posągi św. braci apostołów słowiańskich. Jest to model, który rzeźbiarzowi Maksowi służył, gdy pracował nad wykuciem postaci świętych z marmuru, przez cesarza Ferdynanda zamówionych, po ukończeniu pracy kościółowi welehradzkiemu przez artystę darowany. Maks dokonał tego modelu podług starożytniej malatury, w kościele św. Klemensa w Rzymie zachowanej.

Z licznych kaplic kościelnych jedna jest poświęconą św. Metodowi, Cyryllemu druga. W pierwszej obraz w ołtarzu przedstawia świętego, nauczającego lud morawski. Na jednej z ścian ustęp mniej znaczny z życia tegoż świętego; na drugiej legenda o Świątoboju morawskim, który, podobnie jak nasz Bolesław Śmiały, nieszczęściem prześladowany, miał szukać niepoznany schronienia w klasztorze i dopiero w godzinie śmierci poznać się daje.

W cyrylskiej kaplicy w ołtarzu chrzest Ratisława morawskiego, co się sprzeciwia prawdzie historycznej; książę ten bowiem był już chrześcianinem, gdy obu apostołów z Carogrodu powołał. Nie bez błędu jest także malowidło na jednej ze ścian, przybycie św. braci do Welehradu przedstawiające, a wyobrażające ich jako biskupów, gdy wonczas tylko prostymi misyonarzami byli. Na drugiej ścianie wyobrażona znana scena z życia Borzywoja czeskiego, gdy jako poganin za niegodnego dzielenia stołu z chrześcianami uznany, na ziemi przy uczcie musiał siedzieć, co go ostatecznie do zmiany wiary skłonić miało.

Mylna scena chrztu Ratisława znajduje się raz jeszcze na sklepieniu powtórzona. W innej sklepienia tegoż części przedstawione jest w jaskrawych ale dobrze dobranych barwach zniszczenie klasztoru welehradzkiego przez Hussytów w 1421 r. W sklepieniu zaś kopuły widzieć się dają, pomiędzy innymi malowidły, portrety Przemysła-Ottokara I, króla czeskiego, i Władysława Henryka I, margrabiego Morawy.

W kaplicy św. Wacławowi poświęconej, ołtarz wystawia śmierć, a freski na ścianach dwa ustępy z życia jego.

Historycznych pamiątek, pomników i t. p. zgola w kościele tym niema.

Taką jest świątynia Welehradem zwana. Z powodu tegorocznego jubileuszu, od lat kilku zamierzano przyozdobić ją i odnowić; ale skończyło się na wyanszlagowaniu kosztów, które 80,000 zł. reń. wynosić miały. Widać wydatek tak znaczny do tyła przeraził, że wolano nie czynić i ze skutkiem tego Welehrad w dzień jubileuszowy nie przedstawiał najmniejszego szczególnej troskliwości śladu. Ale nie!.. prawda! Na wieżach zatknięto kilkanaście chorągiewek w kolorach słowiańskich, (czerwoną, białą i niebieską) czeskich i morawskich (czerwoną z białą), wśród których to wesolych barw dość dziko odbijały dwie posępne, urzędowe, czarno-żółte flagi.

Jeżeli jednak główny kościół zaniedbanym został, inny zato pomniejszy religijny pomnik prawdziwie świetnej doznał odnowy. Jest to mała kapliczka, kościółkiem św. Cyrylla, lub Kyrilką zwana, a mylnie poczytywana za przybytek z czasów św. apostołów ocalały. Rzeczywiście wzniesionym on został w czternastym wieku, ku czci właśnie za świętych uznanych braci. Zniszczony w następnym wieku przez Hussytów, odnowionym został w 1590 r. przez welehradzkiego opata; lecz ze zniszczeniem klasztoru w 1784 r. opuszczony, odtąd za magazyn służył. Lud przeciw morawski nie przestawał okazywać mu czci swojej, i to skłoniło obecnego arcybiskupa ołomunieckiego do zrestaurowania go na uroczystość tegoroczną, dokonane ze znakomitym kosztem, a co większa ze starożytniczą wiedzą i umnietwem.

Prócz wspomnianych dwóch świątyń, dwie jeszcze inne we wsi Stare-miasto się znajdują, obie, jak chce przynajmniej autor morawski, który mi za przewodnika służył, zabytkami starego Welehradu będące. Jednym jest kościół św. Michała, budowa kamienna, od 1734 r. w obecnym swym kształcie istniejąca, lecz

której mury, po części chociaż, Świątoplukowych czasów sięgać mają; drugim kościółek św. Jana Chrzciciela, jak chce wspomniany przewodnik mój, przez Brzetysława w 1030 r. takim jak jest dzisiaj zbudowany. Powierzchność jego cała twierdzenie to bardzo prawdopodobnie czyni. Mały ten, sześciokątny, z sklepieniem w kształcie gwiazdy się zbiegającym, kościółek, cały rzecz można z kamienia ulany, mógł przetrwać śmiało te osm przypisywanych mu wieków, i z pewnością drugie tyle przetrwać może, jeśli umyślnie szkoda nie skazi go ręka.

Oba te kościoły stoją na cementarzu. Z trzeciej starożytnej świątyni św. Wita, w której ochrzczonym miał zostać Borzywój przez św. Metodę, pozostały tylko fundamenta, w czas suszy wyzierające z zalanego zwykle wodą dołu. Zniesionym on został dopiero w końcu zeszłego wieku.

Obznajomiwszy się tak z grubszego z przeszłością i teraźniejszością Welehradu, powróćmy do obecnej w nim uroczystości. Niestety! będzie to najkrótsza część mojej korespondencji.

Jak już z góry napomknąłem, rzeczywiście obchód welehradzki był wielce świetną kościelną uroczystością, ale bez najmniejszego charakteru dziejowego lub narodowego święta. Wszystko kończyło się na zwykłych kościelnych obrzędach, a zgromadzony mnogimi tysiącami lud przedstawiał, jak na każdym odpuszczeniu, tę samą falującą się jak morze, w żaden ład, w żaden ustrój uroczystościowy nieujętą masę. Zresztą, prócz ludu i duchowieństwa, nikogo znać nie było; żadnej korporacji, żadnego skupienia inteligencji, słowem tego wszystkiego, czem dopełniony lud, dopiero narodem się staje. Co z tego w małej znalazło się liczbie, ginęło rozproszony; a tak zupełny był brak wszelkiego ogniska, że przybyli pojedynczo literaci i inni ludzie publiczni, odjeżdżali nie wiedząc o sobie, jeśli się jakimś nie zetknęli przypadkiem.

Miałoby to wszystko być inaczej; miało być przewodnictwem, ładem świątecznym i środkiem w którym ruch całej uroczystości miał się zbiegać. Zawiany był w tym celu komitet i t. d. Ale niemieccy centralizatorzy, tyle we wszelkiego rodzaju obchodach się miłujący i prawdziwie ich nadużywający, nie mogli znieść tej myśli, żeby inny prócz nich naród obchód jakiś mógł przedsięwziąć w równouprawnionej, podług brzmienia konstytucji, Austrii. Podniesiono więc tyle hałasu w prasie, a poza nim niewątpliwie tyle intryg, że, krótko mówiąc, komitet jubileuszowy skłonionym się ujrzał do odstąpienia, zostawiając wszystko na zdarz Boże. Że odstąpił, nie dziwię się, znając jaka różnica zachodzi między teorią a praktyką równouprawnienia; ale opuszczenie rąk było za zupełne. Jeżeli niepodobna było zrobić wszystkiego co się zamierzało, można było zrobić choć cośkolwiek.

Rozwiódłszy się nad tem, czego niedostatek odjął spodziewany charakter obchodowi, niemniej jednak muszę pokrótce pomówić o tem co było. Powtarzam więc, że jako uroczystość religijna jubileusz ten był bardzo świetnym. Napływ ludu, zważywszy zwłaszcza okropne upały i roboczą porę, był nadspodziewany. Pierwszego dnia, to jest 5 lipca, liczba ludzi mogła dochodzić do 40,000. Przez tydzień następny cały przychodziło w przecięciu na dzień 40,000. Dziś, w ostatni dzień oktawy, było znowu od 40 do 50,000. A na tem jeszcze nie koniec. Pielgrzymka, jak zapewniają miejscowe stosunki znający, nie ustanie zupełnie i w ciągu następnych tygodni, z przejściem zaś pory roboczej z nową odezwie się siłą. Dotąd liczbę pobożnych którzy Welehrad odwiedzili, śmiało przyjąć można na 250,000. Jak mnie zapewniało, medalików pamiątkowych i lanych w tymże celu żelaznych krzyżyków, znanego mi już dobrze wpiérw kształtu, rozprzedano milion sztuk z górą. Przedsiębiorcy tych upominków i kolej żelazna, pomimo zniżenia na pół ceny dla odpustników, mogą sobie powinszować zarobku.

Przez cały ten tydzień wieś Stare - miasto, którą, bawiac w pobliżu, po parę razy nawidziłem, przedstawiała widok nieustannego odpustu i jarmarku. Pomimo niepospolitej jej obszerności (gdyż liczy kilkaset domostw i do półtrzecia tysiąca mieszkańców), nocą ani można było myśleć o pomieszczeniu pod dachy przybyłych tłumów, które taboram i placach jego noclegowały. W dzień, od rana do zmroku, rozlegał się z gwarem mnóstwa bezustanny śpiew żebaków, dźwięk dzwonów, to znowu śpiew chóralny i muzyka prawie co chwila przychodzących i odchodzących drużyn, czyli tak zwanych kompanij. Powznoszone po bokach budy i kramy, z wiktualiami, napojami, z nabożnymi książkami, obrazkami i medalikami, gromadziły w około siebie coraz to nowych kupców, a malarz lub pisarz rodzajowych obrazków mógłby ztąd unieść niejedną rys zazdrości godny.

Wśród różnobarwnego tłumy tego, szczególnież wpadali w oko oryginalnymi ubiorami swemi chłopcy mo-

rawsey, tak zwani Hanacy i Słowacy. Tych ostatnich po raz pierwszy widziałem w stroju odstępującym od tego, w jakim widując druciarzy, za słowacki w ogólności uważać go nawykliśmy. Tu nasi Słowacy wystąpili od stóp do głów, to jest z wyjątkiem kapeluszy, w białym suknie. Na nogach mieli także cizmy, u dołu tylko rodzajem skórzaną podeszwę obzycie. Widok tych białutkich figur, postępujących długimi rzędami, dość dziwne sprawia dla nienawykłego oka wrażenie.

Obrzędy religijne z nadwyzczajną rozwinięto wspaniałością. Począwszy od kardynała-arcybiskupa pragskiego, codziennie, lub prawie codziennie, celebrował jakiś arcybiskup lub biskup. Duchownych na sta liczone. Mszy, kazań i t. d. nieskończona była liczba. Szczegółowszych w tym względzie wiadomości naturalnie żądać odemnie nie będziecie. Religijne dzienniki zapewne zajmą się gorliwie ich zapisaniem. Moją rzeczą było obznajmić czytelników Tygodnika z dziejami miejsca uroczystości, jego obecnym stanem i zdać sprawę z wrażeń doznanych. Dwa pierwszym warunkom zdaje się że może aż nadto uczyniłem zadość. Jeżeli co do ostatniego tak mało powieździeć miałem, nie moja wina.

Miałbym tu jeszcze ochotę na zakończenie dorzucić myśli i uwag kilka, ale, ponieważ, ściśle biorąc, obejść się bez nich może, niechże się nateraz i obejdzcie. Na myśli i uwagi różne znajdzie się może potem czas stosowny. Tymczasem przyjmij co jest.

W chwili gdy kończę pisać i zabiierać się myślę do opuszczenia Hradiszca, wesola młodzież miejska zapala ponad Morawą skromne ognie sztuczne. Nie wiem, czy to zwykły figiel, czy chęć uczczenia zamknięcia jubileuszowej oktawy. Jeżeli to ostatnie, *sit laudanda voluntas.*

## LUBASZ.

Lubasz, wieś pod Czarnkowem, w północnej stronie w. ks. poznańskiego, w znacznej części przez Żydów zamieszkała, nosi nazwę miasteczka, ale praw miejskich nie posiada.

Samo nazwisko tej osady: Lubasz, jako miejsca lubego i miłego, dalej nazwa góry Krasnej, na której kościół stoi i wykopywane w znacznej ilości na tej górze, w okolicznych wzgórzach i w pobliskim lesie urny dowodzą, iż miejsce to upodobałi czyli polubili sobie mieszkańcy w najodleglejszych, a zapewne jeszcze pogańskich czasach. Bez wątpienia też wieś ta należy do najmiłej położonych w tej okolicy. Wysokie wzgórki tworzą około niej kształt amfiteatru; między nimi dość wydane pasmo gór, tuż pod Lubaszem ciągnące się od wschodu ku zachodowi, zwane Babica, zdaje się być wielkim oszańcowanym obozem; drugie pasmo, Biesiadkami zwane, ciągnie się ku borowi wsi Bzowa i rzeki Noteci; trzecie nakoniec środkowe wzgórze nazywają Krzyżową górą. Dawniej było przy wsi jezioro, które już poczęści wyschło i stanowi teraz łąkę; wieś zaś sama tworzy dokładne półkoło.

Lubasz był gniazdem wielkopolskiej rodziny Lubaskich herbu Radwan, która już dzisiaj wygasła. Co do następnych dziedziców świadcza wizyty kościelne, jak i dokumenta dominialne, iż w r. 1620 był Lubasz własnością Stefana, później zaś Łukasza Gorajskich. Ostatni był podstolim poznańskim. Później dziedziczyli go: Władysław Cielecki i w r. 1701 Jan Cielecki, syn Władysława. Po nim, jako po rodzonym swym wuju, odziedziczyli Lubasz trzej bracia Modlibowscy, którzy zrobiliwszy pomiędzy sobą działą, oddali Lubasz bratu swemu Antoniemu, a ten sprzedał go w r. 1727 Wojciechowi Bończy Miaskowskiemu, później wojewodzie kaliskiemu. Jemu zawdzięcza Lubasz upiększenie i lepsze swe zabudowanie. On jako kolator przyczynił się od r. 1750 w znacznej części do wybudowania obszernego i pięknego kościoła N. M. Panny, oraz wystawił r. 1756 w Lubasz zamek o piętrze i dwóch pobocznych wieżach, z dachem pokrytym miedzią. Tenże wojewoda Miaskowski przemieszkował i umarł w Lubasz i w kościele tutejszym został pochowany.

Częścią z ustnego opowiadania ks. Dyniewicza proboszcza lubaskiego, a później kanonika katedralnego gnieźnieńskiego, częścią z notat po nim pozostałych, przechowała się następna wiadomość o powodach śmierci tego wojewody. Jeden ze sług jego zatrudnionych w browarze, czy też sam piwowar, nazwiskiem Dietrich, został ukarany plagami za jakieś przewinienie. Następnie, zaciągnąwszy się do wojska pruskiego jako huzar, z kilkunastu towarzyszami swymi przekroczył granicę, najechał Lubasz i podeszłego już w lata wojewodę zastawszy siedzącego w krześle, schwytał za piersi i potrząsnął. To sponiewieranie starca i dostojnika w Koronie, miało się przyczynić do przy-

spieszenia śmierci jego. Takie zaś najścia i nadużycia w miejscach blizkich granicy, nie były wcale osobliwością.

Następnie mieszkał w Lubaszu smutnej pamięci Franciszek Miaskowski kasztelan gnieźnieński, członek rady nieustającej, który się ożenił z jedyną córką wojewody. W r. 1795 przeszła ta majątność przez małżeństwo na własność Mikołaja Świniarskiego podówczas kaliskiego, a po śmierci tego nabyła ją w r. 1829 w drodze sądowej sprzedaży kasztelanka Tekla Miaskowska, która w r. 1835 sprzedała ją Józefowi Szoldrzyńskiemu.

Powiadają okoliczni mieszkańcy, że stał tu niegdyś wspaniały zamek możnego właściciela Lubasza i okolicznych włości; że zamek ten z gniewu Bożkiego zapadł się w ziemię i został po nim tylko kopiec w parku ogrodowym, widocznie ręką ludzką usypany. Na nim wznosi się stary dąb wewnątrz spróchniały, świadek bardzo odległych czasów. Wraz z zamkiem zniknął i obok niego leżący ogród i wysokiemi drzewami ocieniony szpaler, prowadzący z zamku do kościoła. Kierunek znikłego szpalera, wskazywać ma dzisiaj głębi kanał. Utrzymują dalej, że ścieżką prowadzącą około kopca do dworu dziedziców, przechodzi jeszcze teraz w nocy bernardyn czy pustelnik, jako strażnik tego miejsca, i o północy znika. Opowiadają że na tej drodze miał niegdyś stać kościół wraz z klasztorem, które się także zapadły.

Domów posiada Lubasz 73. Są to chaty lepienne, słomą pokryte, z wyjątkiem domów dominialnych, które są murowane. Ludność ogólna wynosi obecnie 887 dusz, to jest 696 Polaków, 65 Niemców i 126 Żydów. Przedstawiając charakter i właściwości tej różnej obok siebie mieszkającej ludności, dać można nieledwie wierny obraz całej teraźniejszej ludności w ks. poznańskiego, i dlatego trochę obszerniej się tu w tym przedmiocie rozwiedziemy. Ludność polska w Lubasz przywiązana jest do wiary i narodowości swych ojców; w pracy wyprzedza innoplemienne sługi, co przyznają nawet właściciele dóbr innej narodowości. Lecz do wad tej ludności policzyć można: brak starannej ogledności i baczności na przyszłość, brak wytrwałości w pracy, lekkomyślną towarzyskość i hulankę bez należytego umiarkowania i rozważli, a więc sięgającą nad możność. Zład ludność polska ubożeje, a gospodarstwa włościan całe lub częściami bywają ciągle sprzedawane, już to celem działów familijnych, już też z powodu długów. Tymczasem szczupła ludność niemiecka odosobnia się całkiem, a przy wytrwałości w pracy i ścisłym wyrachowaniu w swych wydatkach, wzrasta w zamożność. Nakoniec ludność żydowska, jak wszędzie przemysłna i przebiegła, drobnym handlem i szynkiem do znacznej wzrasta zamożności, najniekorzystniej wpływając na ludność włościańską, tak pod względem materyalnym, jak i moralnym. Ubiór ludu jest niemiecki.

Kościół parafialny katolicki św. Wawrzynca założyli i uposażyli tu dziedzice z rodziny Lubaskich. Pierwsza o nim wzmianka jest w księdze przywilejów kapituły katedralnej poznańskiej z r. 1466. Wizyta Strzałkowskiego z r. 1628 mówi o nim, iż stał wśród wsi, był cały drewniany, z starości nieco pochylony, wymagający naprawy i niedobrze pokryty. Między latami 1630 i 40 Gorajscy dziedzice podźwignęli go w ten sposób, że jedną część wyreparowali, gdzie zaś był wielki ołtarz, wzniesli nową część kościoła z palonej cegły i dodali do tak zrestaurowanego kościoła wieżę dość piękną, jak się wyraża wizyta Braneckiego z r. 1644. Tę prawie nową świątynię poświęcił d. 10 listopada 1666 r. Wojciech Tholibowski biskup poznański. Stał ten kościół do początku 19 wieku, gdyż dopiero r. 1800 był rozebrany, a nabożeństwo parafialne przeniesiono z niego do kościółka Panny Maryi, na tak zwanej Krasnej górze lubaskiej. (1).

Kościół parafialny Narodzenia N. Maryi Panny na Krasnej górze lubaskiej. Jest wielkie podobieństwo, że na tym wzgórkę stała niegdyś świątynia pogańska. Zdają się tego dowodzić liczne urny żyłne, kościami ludzkimi i popiołami napelnione, które dotąd tu wykopują. Autor książeczki pod tytułem: „Krasna góra lubaska, cudami Bożemi w kościele lubaskim N. M. Panny wslawiona“, (2) przypisuje założenie w tym miejscu kościółka pani z Włociejewskich Trampeczyńskiej. Zgorzał on w dzień św. Stanisława biskupa 1664 r. Ze składek ludzi pobożnych wzniesiono wkrótce nowy, także z drzewa, który w

1) Ob. Łukaszewicza Opis historyczny kościołów parochialnych w dawniej diecezyi poznańskiej, t. I str. 233.

2) Drugą edycją tego pisemka wydał J. Siatkiewicz kanonik warszawski w Poznaniu 1762 r. in 8vo.

czasie swęj wizyty r. 1738 oglądał i opisał Józef Tadeusz Kierski sufragan poznański. W tym też roku obraz Matki Boskiej w wielkim ołtarzu, uznany został przez kommissją biskupią jako cudami i łaskami Bożemi słynący. Roku 1750, za dziedzictwa Wojciecha Maksymiliana Bończy Miaskowskiego, nateńczas chorążego kaliskiego, fundamenta do nowego kościoła założono; w niedzielę zaś trzecią po świątkach, przeniesiono obraz Najświętszej Matki procesyjonalnie do kościoła św. Wawrzyńca. Ówczesny proboszcz, ks. Franciszek Siatkiewicz, prowadził fabrykę nowego kościoła od roku 1750 do 1757, jak to rachunek jego okazuje. Budował go przy pomocy i szcudroblowości kollatora Wojciecha Miaskowskiego, z licznych ofiar panów polskich i z własnych funduszów, jak się wyraża „z wielkim potem.“ Stary kościół stał tu jeszcze do roku 1757; do nowowzniesionego zaś, po poprzedniej benedykcyi, roku 1761 w wigilią Narodzenia N. M. Panny, w assystencyi przeszło trzydziestu kapłanów, wzniesiony został obraz N. Panny. Na czele tój processyji postępował ksiądz Antoni Bończa Miaskowski, scholastyk katedralny poznański. Obraz prowadzono na tryumfalnym wozie, który trzymali dwaj kapłani, ubrani w kościelny aparat; asystowała mu zaś chorągiew huzarska znaku naj. królewicza Karola polskiego i księcia kurlandzkiego, z kooperacyi j. p. Miaskowskiego wojewody kaliskiego, dziedzica i pułkownika tój chorągwi. Kilku wojewodów i kasztelanów, kompanie wieleńska i czarnkowska, miały także



KOŚCIÓŁ PARAFIALNY W LUBASZU.

ucział w tym uroczystym obrzędzie. Samego wreszcie poświęcenia kościoła dopełnił Ksawery de Werbno Rydzynski, sufragan poznański, w niedzielę czwartą po Wielkiej nocy, to jest d. 16 maja 1785 r. Odtąd miejsce to jest celem pielgrzymki okolicznego ludu, osobliwie w czasie dwóch najglówniejszych odpustów, to jest na Zielone świątki i na uroczystość Narodzenia Matki Boskiej d. 8 września.

Kościół dzisiejszy jest okazały, w formie krzyża, w pięknym stylu i znacznym nakładem z cegieł pod dachówką wystawiony. Ma dwie wieże z baniami i krzyżami złoconemi znacznej wysokości i dwie kaplice pokryte blachą. Otoczony jest murem, a w obrębie jego lipami i jesionami. Zaraz za cmentarzem kościelnym założono obszerny park, łączący się z ogrodem dworskim, a w nim liczne drożyny i powabne miejsca odpoczynku. Do upiększenia tego miejsca najwięcej się przyczyniła dziedziczka kasztelanka Miaskowska.

Kościół parafialny lubaski, jako z nowszych pochodzący czasów, nie zawiera w sobie żadnych pomników z odleglejszej przeszłości; ma sześć ołtarzy, a w wielkim obraz narodzenia N. Maryi Panny. Posiada także znacznej wartości srebra w naczyniach kościelnych i dostateczne aparaty.

Pod wsią Mikołajewem w tójże parafii znajduje się kamień trzy łokcie w sześcian mający, do którego przywiązane jest podanie ludu, iż Matka Boska idąca z Roska do Lubasza, miała na nim odpocząć i wycisnąć piętno swęj stopy. Jest wprawdzie coś na tym kamieniu wyłobione, ale to wcale niepodobne do śladu stopy.

Urny. Powiedziano powyżej iż na Krasnej górze, gdzie dziś kościół parafialny się wznosi, przy kopaniu znajdują po całej prawie górze liczne urny, co naprowadza na domysł, że na tęp miejscu był może cmentarz, lub nawet świątynia pogańska. Urny te, przez niebaczną kopających, rzadko w całości bywają zachowane, gdyż największa tylko ostrożność przy wydobywaniu może je ochronić od zepsucia. Zwyczajna głębokość w której się te urny znajdują wynosi trzy, najwięcej cztery stopy; kształt mają różny, wysokość od 6 do 14 cali, objętość zaś bardzo różną. W ziemi ustawione są zwykle na talerzu czyli podstawie, pokryte mniejszym talerzykiem, kilku ka-

mieniami przyciśnionym, a mieszczą w sobie, prócz popiołów, znaczną ilość kości, mających jeszcze cząstkowo swęj właściwy kształt, np. czaszek, żeber i t. p. Na podstawie, obok urny, stoją często małe różnokształtne garnuszki. Świeżo z ziemi wydobyte urny, są nadzwyczaj kruche i mają kolor surowęj gliny, lecz im dłużej stoją na słońcu w suchém miejscu, tęp więcej nabierają mocy, a z czasem i koloru ceglatego, co dowodzi iż były wypalane; kości zaś coraz bardziej bieleją i kruśszą. W urnach nieprzykrytych, już trudno znaleźć ślady popiołu i kości. Kształt tych urn jest bardzo rozmaity; nie mają żadnych napisów lub szczególniejszych znaków, prócz foremnych karbów icentek; lecz w ogóle są tak misternie zrobione, iż pospolity nasz garncarz ledwie naśladowałby je zdołał, co wnosić pozwala, iż w okolicach gdzie takowe naczynia w znacznej liczbie się znajdują, mieszkał lud stały mający siedliska i posiadający już niejaki przemysł. (4)

Na trzech milach kwadratowych wokoło dało się wysledzić siedm podobnych pogańskich cmentarzy, do tąd przez lud żalami zwanymi, to jest w gruntach

wsi do parafii lubaskiej należących, jak: w Lubaszu, Ciszkowie, Mikołajewie, Górze, Szajkowie, Sokołowie i Miłkowie. Pod wsią Mikołajewem wykopano w kilku miejscach przy urnach wędzidla końskie i sprzączki żelazne różnej wielkości, lecz bardzo już od rdzy zepsute.

1) Ob. ks. Dyniewicza w Przyjacielu Ludu rok 2 tom II str. 319.—Także Edw. hr. Raczyńskiego Wspomnienia wielkopolskie, tom I str 184.

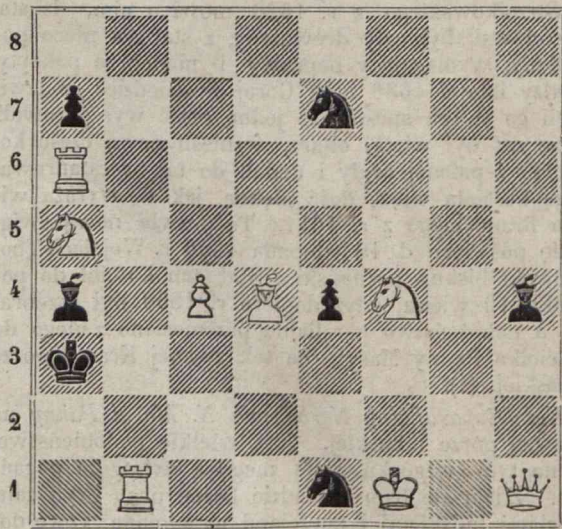
**SZACHY.**

**ZADANIE CLXIX.**

Z. K. w Warszawie.

Białe zaczynają i dają mata za trzecim posunięciem.

Czarne.

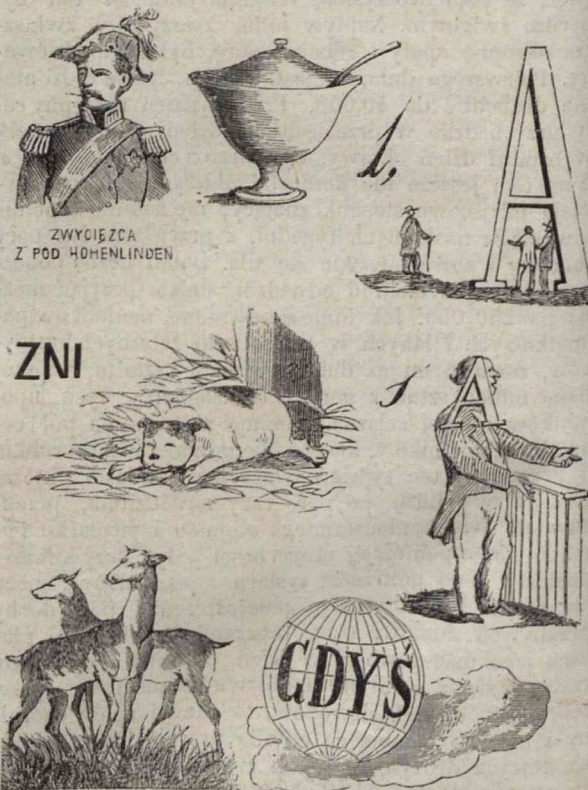


Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 168.

- |                        |                     |
|------------------------|---------------------|
| 1) E 4—A 8 † . . . . . | 2) A 8—A 8 biorą.   |
| 2) A 4—C 6 † . . . . . | 3) A 8—B 8.         |
| 3) D 7—D 8 † . . . . . | 4) E 6—C 8.         |
| 4) G 3—H 4 † odkryty . | 5) E 4—E 5.         |
| 5) H 2—G 3 . . . . .   | 6) H 8—G 6 † i mat. |

**REBUS.**



ZNI

Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 205.  
Twardo w skiby krajać pole,  
Wielka rozkosz w kłosoś kole.